

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 maja 1912.

KAROL EWALD.

KORALE.

(Z duńskiego.)

(Dokończenie.)

Pewnego dnia puścił na jednym boku pączek — zupełnie na podobieństwo drzewa. A pączek stał się maleńkim gwiazdzistym koralikiem z ramionami, ustami i żółtym kawałkiem wapna w swym wnętrzu. Lecz ten trzymał się silnie starego koralu i siedział na nim, jak siedzi gałąź na drzewie.

Stary koral był nadzwyczaj zadowolony.

— Wszystko idzie dobrze! — wykrzykiwał. — Teraz jest nas dwóch!

I opowiadał nowemu koralowi o wyspie, którą chciał zbudować. A nowy koral zgodził się z nim we wszystkim. I tak puszczali ze siebie obaj pączki za pączkami, aż pewnego dnia stanęło piękne drzewo koralowe z licznymi gałęziami, pełnymi gwiazdzistych koralików. Te zaś cały dzień poruszały w wodzie swymi ramionami i zwabiały maleńkie zwierzątka, które pożerały.

Gwiazda morzka, pelzając raz obok, stanęła zdziwiona i zawołała:

— Co za śmieszne drzewo z kwiatami!

— Nie jestem żadnym drzewem — odpowiedział koral.

— Jestem korałem gwiazdzistym.

— Boże, i tyś to jest? — zakrzyknęła gwiazda morska.

— Ale porządnie się zmieniłeś! Doprawdy, nie mogłem cię poznać!

— Ja tak samo. Teraz dopiero widzę, kogo mam przed sobą. Ale bo też rzeczywiście nie widzieliśmy się, odkąd byliśmy dziećmi. Zamierzam właśnie budować wyspę.

— Czy jeszcze ciągle myślisz o głupstwach? — spytała, śmiejąc się, gwiazda morska. — Sędziłam, iż z latami zmądrzejesz. Masz zresztą, jak widzę, towarzystwo.

— Tak — odpowiedział koral. — Są to pączki i gałęzie, jakie puściłem ze siebie... Wszystkie kwiaty, które tu widzisz, są to zwierzątka koralowe, które razem ze mną budują wyspę.

— Tak, tak! Założyłeś przedsiębiorstwo akcyjne. Jest to bardzo rozsądnym z twojej strony, gdyż sam nicbyś nie zrobił. Czy dobrze powodzi się wam razem?

— Wybornie! Lepszych stosunków rodzinnych nie można sobie wyobrazić. We wszystkim tworzymy jedność. Pomyśl tylko: Gdy jeden z nas dobrze je, to wszyscy mamy z tego przyjemność.

— Zdaje mi się, iż uprawiacie wspólność! Ja jeżeli znajdę jaki przysmak, to wcale sobie nie życzę, aby się dostał do cudzego żołądka.

— Nie rozumiesz mnie — rzekł koral.

— Adin! — zawołała gwiazda morska. — Życzę dużo szczęścia przy budowie wyspy.

Stary koral jednak, który siedział w dole na korzeniu drzewa, szeptał do najbliższego sobie pączka:

— Ty jesteś mną a ja jestem tobą i nigdy nie możemy ze sobą się rośląć. Należymy wzajemnie do siebie, i mamy jeden cel przed sobą: zbudować wyspę.

Pączek powiedział to najbliższemu pączkowi, a ten podał to dalej tak, iż wkońcu wszystkie pączki na drzewie wiedziały o tem.

Podczas gdy drzewo dostało coraz to więcej gałęzi miały zwierzątka młode, które wypływały na wodę, malutkie, przezroczyste, okrągłe istotki z delikatnymi włoskami.

Zażywały swej wolności, jak długo były dziećmi; wszystkie jednak miały na myśli wyspę. A skoro tylko dorosły, osadzały się obok starego koralu, puszczały pączki i stawały się drzewami, jak on.

— Teraz nie mogę już więcej! — rzekł pewnego dnia stary koral.

Wokoło niego rósł cały las gwiazdzistych koralu. Białe gałęzie połączyły się silnie ze sobą, a wszystkie błyszczały maleńkimi kwiatkami gwiazdzistymi. Rosły coraz to nowe pączki i w ten sposób wiele milionów małych dzieci koralowych wyszło na świat. A korałe, budując nieustannie, ciągle myślały o wyspie.

Stary koral mógł być dumny ze swego dzieła. Był on bowiem praprapradziadkiem całej rodziny koralowej.

— Nie zapominajcie o wyspie! — nakazywał swoim potomkom do ostatniej chwili.

Wreszcie umarł. Woda splukała jego ciało, lecz w miejscu, na którym siedział, pozostał na drzewie koralowym znak gwiazdy.

Minęło wiele, wiele stuleci.

Fale morza toczyły się nieustannie, słońce świeciło burza śpiewała i korony lasu morskiego poruszały się w wodzie.

Drzewa, między którymi bawiło się dziecię koralowe, zostały oczywiście dawno wyrwane i splukane; lecz inne w ich miejsce wzrosły. Żółwie, które się tam pasły, zmarły przed wieloma laty; lecz nowe żółwie przyszły na ich miejsce. Zginęła ostryga, zginęła gwiazda morska, zniknęły także pstręgi, które kiedyś pływały między drzewami. Olbrzymi wieloryb, który tyle małych konch połknął za jednym zamachem, został zabity harpunem i na tran ugotowany.

Lecz chociaż wszyscy poginęli, to pozostali ich potomkowie, którzy wyglądali tak samo jak oni i tak samo się zachowywali, tak iż nie zaszła zmiana w lesie.

Tylko tam, gdzie się osiedliło dziecię koralowe, aby zbudować wyspę, wyglądało inaczej.

Stało tam ogromne mnóstwo ław koralowych, do których przylączyły się coraz to nowe. Miliony małych dzieci koralowych wypływały w świat, powracały znowu i osiadały obok swych rodziców i przodków. Miliony zwierząt umarły. W wielu drzewach koralowych nie było ani jednego żyjącego zwierzątka, lecz wszystkie twarde zwapniałe gałęzie pełne były gwiazd tam, gdzie one siedziały.

A fale wyrzuciły martwe drzewa, rozbiły na kawałki i rzuciły je na inne i między inne. Zwolna całość stała się wielką, silną bryłą wapienną, która ciągle rosła; bo nowe dzieci koralowe osiadały na starych drzewach i pilnie budowały dalej.

Pewnego dnia dostały się tuż pod powierzchnię morza.

— Mamy już wyspę! — mówiły do siebie radośnie.
— Gdyby był tego dożył nasz pra-pra-pradziadek!
Lecz cieszyły się nieco zawczasie.

Bo gdy miały już wyrósć ponad wodę, nie mogły. Małe zwierzątka nie mogły znieść światła słonecznego, a wszelki trud, jaki sobie zadawały, nic nie pomagał. Nie mogły wyjść dalej.

— My wam pomożemy! — orzekły wdedy fale.
I wyniosły fale z dna morskiego kilka potężnych koralowych bloków i rzuciły je na drugie.

Wyspa była gotową. Wielką wprawdzie nie była, lecz pięknie wyglądała w blaskach słonecznych, a wokoło niej, jak daleko okiem sięgnąć było, nie było nic prócz wody. Pewnego dnia przylatywała biała mewa i osiadła na wyspie.

W tym samym czasie stało się, że ziemia — wielka, okrągła ziemia, która w przestorach świata krąży koło słońca, ciągnąc za sobą księżyc — była w nadzwyczaj złym humorze. Księżyc drażnił ją ciągle i nie uspokoiła się nawet wtedy, gdy rozbiła jedną kometę w kawałki, zanim ta mogła jej opowiedzieć wszystko, co widziała podczas swej wędrówki.

Gdy więc ziemia oglądała pewnego dnia swój brzuch, zobaczyła na równiku mały guz, którego dotąd nigdy nie widziała.

— Cóż to u licha jest znowu? — zawołała ziemia gniewnie.

Nie było to nic innego jak nasza koralowa wyspa. Gdy się ziemia dowiedziała, jak się to stało, rozgniewała się strasznie.

— Tego mi już za dużo! — zawołała. — Nie dość, że głupia kometa co miesiąc natrzęsa się i wyśmiewa ze mnie... nie dość, że ludzie grzebią w moich wnętrznościach, robią z łądu wodę, a z wody łąd i postępują ze mną, jak się im żywnie podoba, to jeszcze takie maleństwa koralowe, których pod szkłem powiększającym trudno zobaczyć, chcą przekształcić moją figurę i sadowią prawdziwą wyspę na moim brzuchu. Nędzne stworzenia! Lecz musimy z tem skończyć.

To rzekłszy w miejscu, w którym leżała wyspa koralowa, obniżyła dno morskie.

Strach powstał nie do opisanja.

Wyspa zniknęła w morzu, a mewa, która siedziała na niej, z głośnym krzykiem uleciała w górę. Bloki koralowe zwały się i rozbiły. Uciekły ryby, raki, żółwie tak prędko, jak mogły, a każdy listek w lesie drżał.

Gdy się jednak woda znowu uspokoiła, szeptały do siebie zwierzątka koralowe:

— Nie zapominajcie o wyspie!

I nie zniechęcone wcale rozpoczęły nanowo budowę. Po upływie jakiegoś czasu znalazły się znowu na powierzchni wody; fale wyrzuciły potężne bloki i wyspa znów była gotową.

A przecież muszę... — zawołała ziemia.

I obniżyła dno morskie jeszcze głębiej.

— Pamiętajcie o wyspie! — szeptały koralowe.

I po jakimś czasie znów pyła wyspa gotową.

— Czy chcecie i jesteście w stanie zawsze tak robić? — spytała ziemia.

— O, z pewnością! — odpowiedziały koralowe.

— W takim razie podaję się, bo widzę, że nic nie poradzę! — rzekła ziemia.

Pozostała więc wyspa tam, gdzie leżała. Koralowe budowały nieustannie dalej, fale rzucały coraz to więcej bloków na powierzchnię, wyspa powiększała się.

Pewnego dnia przylatywała wielka, okrągła, brunatna istota i zapukała w bok wyspy.

— Kto tam? — zapytały koralowe z pod wody.

— To ja jestem! — brzmiała odpowiedź.

— Tak, ale kto? — pytały koralowe.

— Czy mnie nie znacie? Jestem orzech kokosowy, znany i sławny w całym świecie. Buduję wyspy, znane na mapach i w geografii. Nawet pieśni układają na moją część.

— To wszystko może być — rzekły koralowe — lecz my o tem nic nie wiemy. Tę wyspę zbudowaliśmy sami i nie mieliśmy nigdy czasu na śpiewanie pieśni.

— Doprawdy, nie do uwierzenia, ile to jeszcze nieświadomości panuje na świecie — odpowiedział orzech kokosowy. Czy macie na tyle ziemie, abym zapuścił korzenie i wyrósł w piękną palmę.

— Aha — szeptały koralowe — to jest palma!

Prosiły go więc grzecznie, aby powrócił za jakiś czas, a wtedy uczynią wszystko, aby mu dostarczyć ziemi, w którejby mógł rosnąć.

— Doprze! — rzekł orzech kokosowy. — Powłóczę się więc jeszcze czas jakiś po morzu. Za rok łupina moja zgrubieje tak, iż zniosę wszystko.

Z temi słowy odpłynął.

Koralowe zaś prosiły fale, aby rośliny, martwe ryby, gwiazdy morskie, jakie czasem spotkają, wyrzucały na wyspę. Fale robiły to, a wówczas wszystko, leżąc na wyspie, gniło i zamieniało się w ziemię. Przylatywały ptaki morskie i starały się o nawóz; w nawozie była raz pestka z wiśni, która puściła korzenie i wyrosła w piękne drzewko.

Pewnego dnia przylatnęło wielkie, wydrążone drzewo. A gdy, leżąc na wyspie, gniło, wypadła z niego duża ilość nasion trawy i po jakimś czasie cała wyspa zazieleniła się pięknie. W drzewie były także dwie jaszczurki, te miały młode, a że wyspa podobała się im, zostały.

A wtedy powrócił orzech kokosowy.

— Podnieście mnie górę! — rzekł do fal.

I zakiełkował i stał się wspaniałym drzewem. Orzechy jego spadały wokoło i wkrótce stanął na wyspie cały las palm kokosowych. Ptaki budowały na drzewach swe gniazda, znalazły się także kwiaty, pszczołki i motyle.

Wkońcu przylatnął także raz człowiek w łódce.

Okręt jego zatonął, a on wiele dni błąkał się po morzu. Był bardzo głodny i spragniony, a gdy zobaczył wyspę, ucieszył się ogromnie, wyszedł na ląd, jadł orzechy kokosowe i ostrygi, a wreszcie zbudował sobie chatę, w której mieszkał dotąd, dopóki nie przybył okręt i nie zabrał go do jego ojczyzny.

A w wodzie budowały koralowe ustawicznie dalej, bo nigdy wyspa nie była dla nich za wielką.

— Ach, gdyby to mógł zobaczyć nasz pra-pradziadek! — mówiły do siebie.



Z krainy marzeń.

Jeden z najwybitniejszych psychologów współczesnych profesor Havelock Ellis ogłosił niedawno w wielkim dziele wyniki swych studjów nad marzeniami sennymi, czyli jak, się zwykle mówi snami. Przedmiot przez niego opracowywany przedstawia niezwykle wielkie trudności w naukowem badaniu, które między innemi na tem także polegają, że żadna dziedzina psychicznego życia człowieka nie nastrocza tyle powodów do przesądów i nie jest w takim stopniu przesadami nasiąknięta, jak właśnie marzenia senne.

To też często wyrażano zdanie, że stopień znaczenia, jakie przypisuje się snom, jest miernikiem poziomu umysłowego ludzi. Tak np. rodzinę 11 stróżów najsłabiej charakteryzuje 10, że wszyscy jej członkowie przy wspólnem śniadaniu opowiadają sobie wzajemnie sny z ubiegłej nocy, wypowiadają o nich swoje zdania, wysnuwają z nich najdziwniejsze wnioski, a wszystko to obiektywnego słuchacza pobudzić by mogło do szczerzego śmiechu. Zdaje się poprostu, jakoby dla tych ludzi mniejsze znaczenie miało rzeczywiste życie, które świadomie lub mniej świadomie przeżywają i z którego na swój sposób korzystają, aniżeli dziwności sennych, na które oni przenoszą punkt ciężkości wszelkich zdarzeń, a więc i życia. Bo zdaniami ich wszystko, co się dzieje, jest następstwem snów, które mieli, oni lub inni, lecz przedewszystkiem oni, ze snów tych wysnuwają niewątpliwe wnioski o najbliższej przyszłości.

Faktem jest, że im mniej wykształceni są ludzie, tem

skłonniejsi są do tłumaczenia snów, a ponieważ nauka nie dała dotychczas dostatecznego wyjaśnienia zagadki marzeń sennych, przeto wyobrażnia ma w tej dziedzinie otwarte pole do działania. Przyczynia się do tego także to, że w źródłach panującej obecnie religii, zwłaszcza w starym testamencie, sny odgrywają bardzo ważną rolę, co w bezkrytycznych i klerykalizmem zaciemnionych umysłach tem silniejsze wzbudza przekonanie, że należy snom przypisywać pewne znaczenie, że są one sprawą Boga, który na tej drodze zawiadamia lub nawet ostrzega swych wiernych, o przyszłych, zwłaszcza niepomyślnych zdarzeniach. Daremnie ciemnym ludziom tłumaczyć śmieszność i głupotę takiego poglądu, daremnie kościół katolicki za grzech uważa obecnie (bo dawniej kościół inaczej tę sprawę traktował) wiarę w sny obok czarów i guseł.

Sny mają znaczenie w rezultacie i loterii. Ludzie układają swoje numery jedynie na podstawie snów, swoich i cudzych, mają wyrobione w tym kierunku szablony. Śmiech porywa, gdy się widzi, jak ci biadacy podsłuchują się wzajemnie, jeżeli dowiedzą się, że ktoś miał „lepsz” sen. Bo zdaniem ich, co „wychodzi” na loterii, to naprzód się wyśni; jeżeli nie wyjdzie na pierwszym „cyjunku” to niewatpliwie na następnych.

Co jest źródłem snów? Różnie o tem sądzono. Tak np. w ostatnim akcie „Zbójców” Schillera, w scenie między Franciszkiem Moorem a Danielem wyrażona jest krąciowa sprzeczność o pochodzeniu snów; kiedy jeden mówi: „Sny pochodzą z żołądka,” zaś drugi: „Sny pochodzą od Boga”. Uczony inaczej będzie pojmował tę kwestję, a do zbadania snów dążył będzie przez możliwie rzeczową obserwację. Przytem musi się chronić przed błędami, które łatwo sprowadza skłonność, zwykle nieświadoma, do przekształcenia i przejawienia obrazu sennego.

Profesor Ellis od wielu lat nałożył sobie obowiązek, że codziennie rano spisywał będzie w możliwie obiektywny i rzeczowy sposób treść snów ubiegłej nocy i materiały ten przedstawia teraz w swem dziele. Zapewnia on, że przedstawienie jego można uważać za uczciwy, żadnymi dodatkami nieskażony obraz tego, co się zwykło nazywać normalnem życiem sennem. Rozumie się samo przez się, że u ludzi obciążonych chorobami sny mają pewne stałe zabarwienie, ulegają wpływowi choroby w pewnym określonym kierunku, tak, że należałoby tu mówić o patologicznem życiu sennem.

Według sprawozdania Ellisa zdaje się także, jakoby sny u ludzi zdrowych miały wielkie podobieństwo, albo, że treść ich często się powtarza. Można by je przeto z jakąś pewnością i stosunkowo prosto objaśnić, a mianowicie według reguł nauk psychologicznych. Bardzo często jednak w snach obrazy i przeżycia, które ze względu na swą treść nie przedstawiają nic szczególnego, przybierają niezwykłą szatę, a do tego przyczynia się i ta okoliczność, że nikt nie może się uważać za stale zdrowego i że pewne stany chorobowe niektórych organów wpływają na życie sennie w sposób, który nie dostarcza danych do wnioskowania o ich pochodzeniu.

Dlatego jeden z współpracowników pisma naukowego „Lancet”, uzupełniając wywody prof. Ellisa zwraca np. uwagę na to, że wrażenia, jakich doznaje epileptyk przed napadem, wykazują lądzące podobieństwo ze zmianami, jakich w mniejszym lub większym stopniu doznają przed mioty w śnie, i zatracają one poniekąd swój zwykły wygląd a przyjmują raczej postać nierzeczywistą. Okoliczność ta pozostaje prawdopodobnie w związku z tem, że odnośna osoba zostaje niejako wyprowadzona ze swej świadomości.

Ludzie obarczeni chorobami nerwowymi, albo też histeryją, mogą ulegać takim złudzeniom co do istoty swego otoczenia.

Uczucia strachu, które zdarzają się np. jako obawa przed śmiercią, albo też w łagodniejszej formie jako wyobrażenie, że musiałoby się jeszcze raz chodzić do szkoły lub zdawać egzamin, prawdopodobnie powodowane są nieregularnościami w systemie naczyńowym. Przy tego rodzaju stanach chorobowych zauważono mianowicie wypadek, że chory ma niepewne wrażenie, jakoby głowa jego skur-

czyła się do znikomo małych rozmiarów, a członki jego nabrzmiały do olbrzymich kształtów.

Z tem wszystkiem istota i pochodzenie marzeń sennych dlatego jeszcze będzie dla nauki zagadką; jednak materiały i studja mozolne, „przez świat naukowy nieustannie prowadzone z czasem i na tą dziedzinę życia psychicznego rzuca jaśniejsze światło.



Rozmaitości



Węgiel przed 500 laty. Chociaż pokłady węgla kamiennego w Anglii nie prędko jeszcze się wyczerpią, w gazetach odzywają się od czasu do czasu głosy, które w przewidywaniu różnych okropności, mających nawiedzić ludzkość po wyczerpaniu się zasobów węgla, nawołują do oszczędności i nie marnowania drogiego chleba wielkiego przemysłu.

Przed 500 z górą laty inaczej nieco oceniano pożytek węgla. Anglja wówczas nie wiele jeszcze wiedziała o swych bogatych pokładach węgla i kiedy przed 500 laty przywieziono po raz pierwszy z Newcastle do Londynu ładunek węgla kamiennego, to gmina stolicy wystosowała do tronu petycję o zakaz palenia w piecach „tym niebezpiecznym materiałem”. Ponieważ zakaz królewski nie powstrzymał całkowicie przewozu węgla, więc ustanowiono prawo, na mocy którego każdy, kto palił w piecu lub gdzieindziej węgiel kamienny, podlegał karze śmierci. — Tylko kilka położonych za rogatkami domów otrzymało specjalne pozwolenie na używanie „materiału przekłętą”.

Prawo, karzące śmiercią konsumentów węgla, nie zostało tylko martwą literą. Kroniki więzień londyńskich wspominają o paru obywatelach tego miasta, którym ucięto głowy za palenie węglem w swych piecach.

* * *

Pięciokrotne bratobójstwo. O niezwykle brutalnej, wprost zwierzęcej, zbrodni donoszą z miejscowości Beckerleel, położonej na północ od Brukseli. Mieszka tam wdowa Polpoe z szczęściu synami i dwiema córkami. Jeden z synów jej zajmuje się gorliwie hodowlą gołębi. W piątek spostrzegł amator gołębi brata swojego, wspinającego się po drabinie do gołębnika i, podejrzewając go, że chce mu zabrać kilka gołębi, zaczął mu robić gwałtowne wyrzuty. Po stronie jego stanęła reszta rodziny, co tak rozjątrzyło ujętego na gorącym uczynku złodzieja gołębi, że porwał widły od gnoju i rzucił się z niemi na braci oraz siostry. Przerażona matka wybiegła na ulicę, wołając o pomoc, zanim wszakże sąsiedzi nadbiegli, już trzech braci brutalnie leżało na ziem zakłutych na śmierć, obie zaś siostry odniosły tak ciężkie rany, że wkrótce potem skonały. Pięciokrotnego bratobójcę aresztowano.

* * *

Niezwykła płodność. Z miejscowości belgijskiej Berlenx donoszą, że żona pewnego robotnika tamtejszego urodziła czworaczki, mianowicie trzy dziewczynki i chłopca. Tak matka, jako też dzieci, mają się dobrze. Poprzednio urodziła już trojaczki, dotychczas żyjące, tak, że w ciągu dwuletniego małżeństwa wzbogaciła rodzinę o siedmioro dzieci. Bardzo niezamownemu mężowi tak płodnej niewiasty pospieszono z pomocą materyjalną.

* * *

Szczałki Roberta Bluma. W dzielnicy wiedeńskiej Brigittenau przy kopaniu rowów pod fundamenty pomiędzy laskiem „Brigitta” a nasypem kolej zachodniej znaleziono kości ludzkie, które uważane są za śmiertelne szczątki Roberta Bluma, uczestnika rewolucji 1848 r. Robert Blum na polecenie parlamentu frankfurckiego przybył z Juliuszem Föblem do Wiednia, wioząc adres do rewolucjonistów wiedeńskich. Po zdobyciu Wiednia przez wojska Windischgrätz'a zarówno Blum, jak Fröbel zostali uwięzieni. Blum

został skazany na śmierć dlatego, że walczył na barykadach przeciwko wojsku cesarskiemu. Chociaż powoływał się na swoją nietykalność jako członek parlamentu, został rozstrzelany na miejscu wyżej wspomnianem. Czy wykopane kości są szczątkami zwłok Bluma, niepodobna dzisiaj stanowczo stwierdzić.

„N. W. Tag.“, donosi, że Blum pochowany jest na cmentarzu na Waehringu, a w tym samym grobie leżą zwłoki Edwarda Jelowickiego, pochodzącego z zaboru pruskiego, rozstrzelanego w fosie fortecznej na drugi dzień po śmierci Bluma.

* * *

20 000 marek za łódź ratunkową. Z Meranu donoszą, że bawiący tam fabrykant nazwiskiem Aron Hirsch wystosował do generalnego dyrektora niemieckiego „Lloydu“ list, w którym oświadcza, że składa 20 000 marek jako premię dla inżyniera, który wynajdzie łódź ratunkową motorową tak skonstruowaną, by przez jeden nacisk elektryczny sama spadała na morze i w ciągu pół minuty była gotową do wyjazdu.

* * *

Cmentarze morza. Z powodu katastrofy „Titanica“ podają pisma angielskie, że mimo coraz wyraźniejszych postępów w technice budowy okrętów, morze co rok pochłania tysiące ofiar. Dokładniejsze o tem pojęcie dają cyfry statystyczne. W r. 1906 uległo zupełnemu zniszczeniu 376 parowców, o łącznej pojemności 522 292 ton. Naczelne miejsce w żałobnej liście katastrof zajmuje oczywiście flota angielska. W r. 1906 utraciła ona 166 parowców, nadto 202 okrętów żaglowych. W 187 wypadkach ogólnej liczby katastrof r. 1906, przyczyna było rozbicie okrętu, w 33 zderzenie z innym okrętem, w 11 pożar, w 26 wywrócenie okrętu, 15 okrętów przepało bez wieści, 10 zostało opuszczonych przez załogę, 81 zaś po zbadaniu przez władzę portowe uznanych zostało za „pływające trumny“ i wykluczonych od dalszej żeglugi.

Co się tyczy geograficznego położenia miejsc, w których najczęściej wydarzają się katastrofy, istnieją okolice, noszące fatalną nazwę „cmentarzów morza“. Należą do nich wybrzeża angielskie kanału La Manche, okolice wysp Scilly, wybrzeże kanału Bristol i kanału św. Jerzego, wybrzeża Mersey i wiele angielskich i szkockich „wjazdów portowych“. Najgorszą opinię wśród marynarzy mają okolice Cap-Race na Nowej Fundlandji, które właśnie były widownią katastrofy „Titanica“, oraz wybrzeża Sable-Island na południe od Cap-Breton w Nowej Szkocji. Mgły i góry lodowe stanowią największe niebezpieczeństwo tych tragicznie w dziejach żeglugi zapisanych miejscowości.

Jak stwierdzają raporty w r. 1899 dziesięć parowców uległo katastrofie wskutek zderzenia z górami lodowymi. W r. 1907 niemiecki parowiec „Kronprinz Wilhelm“ w tych właśnie okolicach uległ poważnemu uszkodzeniu, w r. 1909 cztery wielkie parowce znalazły się wskutek naporu gór lodowych w sytuacji bez wyjścia. Sable-Island jest płaskim szczytem podziemnego łańcucha górskiego, który najwyższymi swymi cyplami w odległości 250 kilometrów od Halifaxu, wychyla się z powierzchni oceanu. Okoliczność, że gęste mgły przez całe tygodnie zasłaniają wyspy i że zwykła linja między Europą a Nowym Jorkiem przechodzi tylko o 40 mil morskich od Sable-Island, była już powodem wielu katastrof. W ciągu 19 wieka uległo to uszkodzeniu lub zupełnemu zniszczeniu 185 okrętów.

* * *

Baterja elektryczna w ustach. Jeden z dentystów petersburskich opowiedział współpracownikowi pisma Birżewyja Wiedomosti dziwne rzeczy o wpływie zębów sztucznych na charakter człowieka. Dentysta zauważył, że charakter ludzi noszących sztuczne zęby, wprowadzone zapomocą płytek metalowych, ulega niebawem ostrym zmianom. Badając tę kwestję, dentysta przyszedł do przekonania, że winien temu prąd elektryczny. Ponieważ płytki zębów sztucznych są zwykle zrobione z dwóch różnorodnych metalów, więc stanowią one elementa prądu galwanicznego, a pod wpływem

śliny w ustach formuje się prawdziwa baterja elektryczna. Baterja ta, chociaż bardzo słaba, lecz ciągle działająca, drażni system nerwowy i ludzie, którzy odznaczali się charakterem najspokojniejszym, po wprawieniu zębów sztucznych stają się nerwowymi i kłótliwymi. Każdy, kto wstawił sobie zęby na płytkach metalowych, odczuwał z początku lekkie swędzenie w ustach. Wywołuje je właśnie prąd elektryczny. Ludzie z czasem przyzwyczajają się do tego swędzenia i nie odczuwają go więcej, ale system nerwowy cierpi. Obserwacja dentysty petersburskiego wymaga w każdym razie potwierdzenia ze strony lekarzy.

* * *

Telegraf bez drutu a katastrofy. Pisma londyńskie zamieszczają statystykę wypadków na morzu w ostatnim roku i podnoszą doniosłe znaczenie telegrafu bez drutu, któremu już przeszło 4000 osob zawdzięcza swe ocalenie. Ogółem w czasie tym było 542 katastrof okrętowych. Z tego przypada 173 wypadków na Anglię, 75 na Stany Zjednoczone, 73 na Norwegię, 33 na Francję, po 30 na Szwecję i Rosję; ponadto uległo rozbiciu 17 parowców włoskich, 15 hiszpańskich i 11 duńskich. W stosunku do całej floty świata, liczącej 22 000 parowców i 8000 żaglowców o ogólnej pojemności 40 milionów ton, procent wypadków jest stosunkowo znaczny.



Dymokrackie medykacje.

Święto pracy! Bóło święto, aleh pracowań wiynkszy jak po inksze dni; bo to te paragrafy dobre są dla kapitalistów a burapatrjotów, zaś te kiepskie dlo ubogich a tych, chtërych zowią rewolucjonistami. Pochody nom zakozane, to sie wiy. Ale kiej rostmaite ferajny za dnia albo o ćmoku s muzyką albo ze śpiewem wrocąją do dom, to sie i pozwolo i bez pisma.

W sejmie pruskim uskorżali sie tyż postowie na te postępowanie policji s prawami o zebraniach a stowarzyszeniach. Podowali tyż rostoliczne środki na to, ale wszyscy zaboczyli o tym, iże niekierym policajom nie chodzi o prawo, jino o świadkowe.

To samo potwyirdzo tyż kieryś urzędnik komunalny w pismach hakatystycznych, bo chce, ażeby okrom rządów i gminy dowwały ostmarkenculagi. Ale jo mu padom, iże tym hnet wszystkim panoczkom nie ostmarki, óni wolą raczej rajchsmarki; i to je tym cołki patrjotyzm.

Niy mom dzisiok czasu na medykacje. Zaś mi przysłali sztajercetel, to musza reklamować. Bo to kiej sie fedruje to lichu płacą a jeszczy s tego i sztrofy trza płacić; kiej sie strzeli tako robota, to nijak inkszą znojsć, a kiej sie idzie do ruły, to loncetłów niyma. Tak nic a tak tyż nie wiynkszy. Dołbych sie już i pansjonować, aleby mi po dwu rokach udowodnili, żech już sie nałożół do niemocy a starych roków, toby mi i ta renta wzyni. A w armenhauzie woli ferwalter wszystko sobie wziońć jak dać tym, chtërym miasto a dobrzy ludzie coś przyniesą. Z organizacji nie trza wdyci brać, bo to byłaby krzywda dlo tych, co wiynkszy potrzebuja. Tako i niy ma dochodów, a drożyna gryzie kiej pies wściekły, a ty jeszczy płac za to podatki na to, coby ci wszystko jeszczy wiynkszy dopolało. Nie, na to trza reklamować. A tym, co chcą skłódki na aeroplóny, to padom, iże moje piyniadze i tak już poszły do luftu, a kiejbych je miół, tobych kupiół raczyj presówki.

To wyboczą, zaś lm napisza wiynkszy.

Gustlik Beskuryjo.